



STEPHEN
KING
KOMÓRKA

1

Zjawisko nazwane później Pulsem rozpoczęło się pierwszego października o 15.03 czasu wschodnioamerykańskiego. Oczywiście nazwa ta była niewłaściwa, ale w ciągu następnych dziesięciu godzin większość uczonych mogących tego dowieść umarła albo postradała zmysły. Poza tym nazwa nie była aż tak istotna. Ważne były skutki.

Tego dnia o trzeciej po południu po bostońskiej Boylston Street szedł na wschód — niemal radośnie podskakując — pewien młody człowiek niemający odegrać żadnej istotnej roli w historii świata. Nazywał się Clayton Riddell. Szedł sprężystym krokiem, któremu towarzyszył malujący się na jego twarzy wyraz nieskrywanego zadowolenia. W lewej ręce trzymał dużą teczkę, taką, w jakich artyści noszą swoje zdjęcia lub obrazy, zamykaną na zatrzaski. Palce lewej dłoni oplatał mu sznurek brązowej plastikowej torby na zakupy, na której dla każdego, komu chciałoby się to czytać, wydrukowano napis **small treasures**.

W lekko kołyszącej się torbie spoczywał niewielki okrągły przedmiot. Prezent, jak moglibyście się domyślać. Moglibyście ponadto zgadywać, iż ten młody człowiek, ów Clayton Riddell, zamierzał tym zakupem uczcić jakieś niewielkie (a może nawet

nie takie małe) zwycięstwo. Przedmiot znajdujący się w reklamówce był dość kosztownym przyciskiem do papieru z zatopioną we wnętrzu siwą mgiełką puchu dmuchawca. Clayton kupił go w drodze powrotnej z hotelu Copley Square do znacznie skromniejszego Atlantic Avenue Inn, w którym się zatrzymał. Lekko się przestraszył naklejką z dziewięćdziesięciodolarową ceną na podstawie, a chyba jeszcze bardziej speszyło go to, że teraz mógł sobie pozwolić na coś takiego.

Wręczenie sprzedawcy karty kredytowej stanowiło prawdziwy akt odwagi. Wątpił, czy zdobyłby się nań, gdyby zamierzał kupić ten przycisk dla siebie; zapewne wymamrotałby, że zmienił zdanie, po czym czmychnąłby ze sklepu. Jednak to był prezent dla Sharon. Ona lubiła takie rzeczy i nadal lubiła jego. „Trzymam za ciebie kciuki”, powiedziała w przeddzień jego wyjazdu do Bostonu. Zważywszy na to, w jakie szambo zmienili swoje życie przez miniony rok, było mu przyjemnie. Teraz on chciał jej zrobić przyjemność, jeśli to jeszcze możliwe. Ten przycisk to drobiazg (**small treasure**), ale Clayton był pewien, że spodoba jej się ten delikatny siwy opar zatopiony głęboko w szkle, niczym kieszonkowa mgła.

2

Uwagę Claya przyciągnęło pobrząkiwanie dzwonka na furgonetce z lodami. Stała naprzeciw hotelu Four Seasons (jeszcze lepszego niż Copley Square), obok parku Boston Common, który przez kilka przecznic ciągnął się wzdłuż ulicy. Na tle dwóch roztańczonych rożków z lodami widniał namalowany tęczowymi literami napis MISTER SOFTEE. Przy okienku tłoczyła się trójka dzieciaków z tornistrami u stóp, czekających na swoje lody. Za nimi stała kobieta w żakiecie i spodniach trzymająca pudła na smyczy oraz dwie nastolatki w dżinsach biodrówkach, z iPod-ami i słuchawkami, które teraz wisiały im

na szyjach, żeby nie przeszkadzały w cichej rozmowie — poważnej, bez chichotów.

Clay stanął za nimi, zmieniając małą grupkę w krótką kolejkę. Kupił prezent żonie, z którą był w separacji, a w powrotnej drodze zajdzie do Comix Supreme i kupi synowi najnowsze wydanie „Spider-Mana”, tak więc sobie też może sprawić przyjemność. Chciał jak najprędzej przekazać wieści Sharon, ale będzie mógł się z nią skontaktować dopiero po jej powrocie do domu, czyli około trzeciej czterdzieści pięć. Myślał, że spędzi ten czas w hotelu, przechadzając się po pokoiku i zerkając na zamkniętą teczkę ze swoimi rysunkami. Tymczasem lody mogły być przyjemnym urozmaicheniem.

Lodziarz właśnie obsłużył dzieciaki: dwa Dilly Bars i ogromny rożek czekoladowo-waniliowy dla stojącego w środku, który najwidoczniej płacił za całą trójkę. W chwili gdy chłopak wyciągał garść wymiętych banknotów z kieszeni modnie workowatych džinsów, kobieta z pudłem sięgnęła do torebki, wyjęła z niej telefon komórkowy — kobiety w takich kostiumach nie ruszają się z domu bez komórki i karty kredytowej — i otworzyła go wprawnym ruchem. Za nimi, w parku, zaszczekał pies i ktoś krzyknął. Clay odniósł wrażenie, że ten okrzyk nie zabrzmiał zbyt radośnie, ale zerknąwszy przez ramię, zobaczył tylko kilkoro spacerowiczów, truchtającego psa z frisbee w pysku (czy tu psy nie powinny być trzymane na smyczy? — pomyślał), całe akry nasłonecznionej zieleni i zapraszający do odpoczynku cień. Naprawdę dobre miejsce dla człowieka, który właśnie sprzedał swój pierwszy komiks — także następny, oba za zdumiewająco wysoką sumę — a teraz chce usiąść i zjeść rożek czekoladowy.

Kiedy znów spojrział na furgonetkę, dzieciaki już sobie poszły, a kobieta w kostiumie zamawiała deser lodowy. Jedna z dwóch stojących za nią dziewcząt miała przypiętą do paska komórkę w kolorze mięty, a kobieta trzymała swoją mocno przyciśniętą do ucha. Clay pomyślał — zawsze to robił, mniej lub bardziej

świadomie, na widok takiej sceny — że jest świadkiem tego, jak zachowanie, które jeszcze niedawno uznano by za przejaw wyjątkowego braku kultury, powoli staje się czymś naturalnym i powszechnie akceptowanym.

„Wykorzystaj to w »Mrocznym Wędrowcu«, złotko”, powiedziała Sharon. Ta jej wersja, którą zachował w swoim umyśle, często zabierała głos i nigdy nie dawała się przegadać. (Dotyczyło to również prawdziwej Sharon, bez względu na to, czy byli w separacji, czy nie). Nigdy jednak nie rozmawiali przez komórkę, bo Clay nie miał telefonu komórkowego.

Telefon w kolorze mięty odegrał początkowe takty melodyjki Szalonej Żaby, którą tak lubił Johnny, chyba noszącej tytuł *Axel F*? Clay nie mógł sobie przypomnieć — być może dlatego, że usilnie starał się go nie zapamiętać. Właścicielka wiszącej na biodrze komórki chwyciła ją i przyłożyła do ucha.

— Beth? — Posłuchała chwilę, uśmiechnęła się i powiedziała do koleżanki: — To Beth!

Tamta również nachyliła się do słuchawki i obie słuchały, ich identyczne chłopięce fryzury rozwiewał popołudniowy wietrzyk (przypominały Clayowi postacie z jakiejś kreskówki, na przykład *Powerpuff Girls*).

— Maddy? — zapytała niemal równocześnie kobieta w żakiecie. Pudel siedział w kontemplacyjnej pozie na końcu smyczy (która była czerwona i oprószona czymś błyszczącym), spoglądając na uliczny ruch na Boylston Street. Po drugiej stronie, przed hotelem Four Seasons, portier w brązowej liberii — te zawsze są brązowe lub granatowe — machał ręką, zapewne na taksówkę. Obok majestatycznie przepłynął turystyczny odkryty autokar w kształcie łodzi, wysoki i sprawiający dziwne wrażenie na suchym lądzie, ogłuszając wszystkich porykiwaniem kierowcy wykrzykującego przez megafon jakieś fakty historyczne. Dziewczęta z telefonem o barwie mięty spjrzały na siebie i uśmiechnęły się, rozbawione czymś, co usłyszały, ale wciąż nie chichotały.

— Maddy? Słyszysz mnie? Czy mnie...

Kobieta w żakiecie podniosła rękę ze smyczą i wetknęła sobie do ucha palec z długim paznokciem. Clay skrzywił się, pełen najgorszych obaw o jej bębenek. Wyobraził sobie, że ją rysuje: psa na smyczy, kostium ze spodniami, modnie ostrzyżone krótkie włosy... i strużkę krwi sączącą się spod tkwiącego w uchu palca. Zapchany turystami autokar wyjeżdżający z kadru i portier w tle, bo takie szczegóły dodałyby rysunkowi realizmu. Z pewnością — takie rzeczy po prostu się wie.

— Maddy, słabo cię słyszę! Chciałam ci powiedzieć, że właśnie ostrzygłam się u tego nowego... ostrzygłam? Os...

Facet w furgonetce Mister Softee pochylił się i wyciągnął rękę z deserem lodowym. Z kubka wznosił się biały alpejski szczyt, po którego zboczach powoli spływała czekoladowo-truskawkowa polewa. Nieogolona twarz lodziarza nie wyrażała żadnych uczuć. Jej wyraz świadczył o tym, że to dla niego nic nowego. Clay był pewien, że facet już to wszystko widział, nawet kilka razy. W parku ktoś wrzasnął. Clay ponownie zerknął przez ramię, wmawiając sobie, że to na pewno okrzyk radości. O trzeciej po południu, w słoneczny dzień w bostońskim parku, to przecież musiał być okrzyk radości, no nie?

Kobieta powiedziała jeszcze coś do Maddy, po czym wprawnym ruchem dłoni zamknęła telefon. Wrzuciła go do torebki i nagle znieruchomiała, jakby zapomniała nie tylko, co robi, ale nawet gdzie się znajduje.

— Należy się cztery pięćdziesiąt — powiedział sprzedawca, cierpliwie trzymając deser lodowy w wyciągniętej ręce.

Clay zdążył pomyśleć, że w tym mieście wszystko jest kurewsko drogie. Być może kobieta w kostiumie też tak uważała — a przynajmniej tak mu się z początku wydawało — ponieważ jeszcze przez chwilę się nie poruszała, patrząc na biały wzgórek i spływającą z niego polewę z taką miną, jakby nigdy życiu w życiu nie widziała nic takiego.

Nagle z parku dobiegł kolejny przeraźliwy wrzask — tym

razem niewątpliwie niewydobywający się z ludzkich ust i będący czymś pośrednim między zdumionym warknięciem a bolesnym skowytym. Clay odwrócił się i zobaczył psa, który niedawno truchtał z frisbee w pysku. Był całkiem spory, brązowy, chyba labrador — Clay nie znał się na rasach, a kiedy musiał jakiegoś psa narysować, brał książkę i kopiował odpowiedni obrazek. Przy tym klęczał mężczyzna w garniturze, trzymając zwierzę za kark i gryząc je w ucho. To niemożliwe, na pewno mi się wydaje, pomyślał Clark. Pies ponownie zawył i próbował się wyrwać. Mężczyzna nie puścił go i tak, rzeczywiście, w ustach trzymał psie ucho, a potem oderwał je gwałtownym szarpnięciem. Tym razem pies już nie zawył, lecz wydał niemal ludzki wrzask i stado pływających po pobliskim stawie kaczek zerwało się do lotu, głośno kwacząc.

— Szuuurrrr!!! — krzyknął ktoś za plecami Claya.

Zabrzmiało to jak „szczur!” Może wołający krzyczał „sznur!” lub „skur...”, ale późniejsze wydarzenia sprawiły, że Clay nabrał przekonania, iż był to nieartykułowany dźwięk wyrażający agresję.

Odwrócił się z powrotem do furgonetki z lodami i zobaczył, jak kobieta w żakiecie rzuca się do okienka, usiłując złapać lodziarza. Zdołała go chwycić za klapy rozpiętego białego fartucha, ale uwolnił się bez trudu, odruchowo robiąc krok wstecz. Jej stopy w pantoflach na wysokich obcasach oderwały się na moment od ziemi i Clay usłyszał trzask dartego materiału oraz grzechot guzików, gdy przeszorowała po krawędzi kontuaru, najpierw w górę, a potem w dół. Deser lodowy wypadł jej z ręki i znikł z pola widzenia. Gdy szpilki kobiety z głośnym stuknięciem ponownie opadły na chodnik, Clay zobaczył, że jej lewy nadgarstek i przedramię są umazane lodami i polewą truskawkową. Zatoczyła się do tyłu na ugiętych nogach. Obojętnie uprzejmą minę — którą Clay w myślach nazywał maską dla tłumu — zastąpił spastyczny grymas, który zmienił jej oczy

w szparki i odsłonił wyszczerzone zęby. Całkowicie wywinęta górna warga odsłoniła aksamitnie różową śluzówkę, równie intymną jak wyściółka pochwy. Pudel wybiegł na ulicę, ciągnąc za sobą czerwoną smycz zakończoną pętlą na dłoń. Zanim zdążył dotrzeć do połowy jezdni, rozjechała go czarna limuzyna. W jednej chwili puchata kulka, w następnej — kupka flaków.

Cholerny biedaczyna zapewne czekał już w psim niebie, zanim zauważył, że przeniósł się na tamten świat, pomyślał Clay. Wprawdzie zdawał sobie sprawę z tego, że jest w szoku, lecz to ani trochę nie zmniejszyło jego zdumienia. Stał tam, trzymając w jednej ręce teczkę, a w drugiej brązową torbę na zakupy, i gapił się z rozdziawionymi ustami.

Gdzieś — prawdopodobnie za rogiem Newbury Street — coś eksplodowało.

Pod słuchawkami iPod-ów obie nastolatki miały identyczne fryzury, lecz ta z telefonem w kolorze mięty była blondynką, a jej koleżanka brunetką. Pixie Jasna i Pixie Ciemna. Pixie Jasna upuściła aparat na chodnik, gdzie się roztrzaskał, i obiema rękami złapała kobietę w talii. Clay zakładał (jeśli w tym momencie mógł cokolwiek zakładać), że zamierzała powstrzymać kobietę przed ponownym zaatakowaniem lodziarza lub przed wybiegnięciem na jezdnię w pogoni za psem. Jakaś częśćka jego umysłu nawet przyklasnęła przytomności umysłu dziewczyny. Pixie Ciemna cofała się, z drobnymi białymi dłońmi przyciśniętymi do piersi i szeroko otwartymi oczami.

Clay wypuścił z rąk obie torby i ruszył na pomoc Pixie Jasnej. Po drugiej stronie ulicy, przed hotelem Four Seasons — co zauważył tylko kątem oka — jakiś samochód gwałtownie skręcił i pomknął po chodniku, zmuszając portiera do ucieczki. W hotelowym ogródku rozległy się krzyki. Zanim Clay zdążył przyjść jej z pomocą, Pixie Jasna z prędkością atakującego węża wysunęła kształtną główkę do przodu, wyszczerzyła

niewątpliwie zdrowe zęby i zatopiła je w szyi kobiety. Krew trysnęła strumieniem. Dziewczyna trzymała w niej twarz, a może nawet ją piła (Clay był niemal pewien, że tak), po czym potrząsnęła kobietą jak szmacianą lalką. Kobieta w żakiecie była znacznie wyższa i cięższa co najmniej o czterdzieści funtów, lecz dziewczyna trzęsła nią tak, że głowa rannej gwałtownie kołysała się do przodu i do tyłu, co powodowało jeszcze obfitszy wypływ krwi. Po chwili napastniczka podniosła zakrwawioną twarz ku błękitnemu październikowemu niebu i zawyła triumfalnie.

Oszalała, przemknęło Clayowi przez głowę. Zupełnie oszalała.

— Kim jesteś? — wykrzyknęła Pixie Ciemna. — Co się dzieje?

Na dźwięk głosu przyjaciółki Pixie Jasna błyskawicznie odwróciła głowę w jej stronę. Krew kapała z jej wystrzyżonych nad czołem włosów, a oczy świeciły jak białe lampy w zalanych krwią oczodołach. Pixie Ciemna szeroko otwartymi oczami spozjrzała na Claya.

— Kim jesteś? — powtórzyła i zaraz dodała: — Kim ja jestem?

Wypuściwszy z objęć kobietę, która osunęła się na chodnik, wciąż obficie krwawiąc z rozerwanej tętnicy szyjnej, Pixie Jasna rzuciła się na koleżankę, z którą zaledwie przed chwilą przyjaźnie dzieliła się telefonem komórkowym.

Clay działał błyskawicznie. Gdyby się zastanawiał choć przez ułamek sekundy, Pixie Ciemna zginęłaby z rozerwanym gardłem, tak samo jak kobieta w żakiecie. Nawet nie spojrział w dół. Po prostu opuścił prawą rękę, chwycił torbę z nadrukiem **small treasures**, zamachnął się i uderzył w chwili, gdy Pixie Jasna rzuciła się na przyjaciółkę, rozcapierzając palce jak szpony. Gdyby chybił...

Nie chybił, trafił bezbłędnie. Tkwiący w torbie szklany przycisk do papieru ze stłumionym łoskotem rąbnął Pixie Jasną

w tył głowy. Dziewczyna opuściła ręce — jedną zbroczoną krwią, drugą wciąż czystą — i bezwładnie jak worek z pocztą runęła na chodnik u stóp koleżanki.

— Co jest, do cholery? — wykrzyknął lodziarz. Miał nienaturalnie piskliwy głos. Może pod wpływem szoku.

— Nie mam pojęcia — odparł Clay. Serce łomotało mu w piersi. — Szybko, niech mi pan pomoże. Ta kobieta zaraz się wykrwawi.

Za ich plecami, na Newbury Street rozległ się charakterystyczny trzask i brzęk zderzających się samochodów, a potem przeraźliwe krzyki. Po chwili po ulicy przetoczył się ogłuszający huk eksplozji. Za furgonetką Mister Softee następny samochód gwałtownie skręcił, przeciął trzy pasy Boylston Street, skosił dwoje przechodniów, po czym wbił się w tył poprzedniego pojazdu, który zakończył swoją jazdę w wielkich obrotowych drzwiach hotelu Four Seasons. Uderzenie wepchnęło samochód jeszcze głębiej w drzwi, zupełnie je deformując. Clay nie mógł dostrzec, czy ktoś został tam uwięziony — widok zasłaniała mu para buchająca z rozbitej chłodnicy — ale dobiegające z cienia wrzaski sugerowały bardzo nieprzyjemne rzeczy. Bardzo.

Lodziarz, który nie mógł tego widzieć, wychylił się niemal do połowy z okienka i gapił się na Claya.

— Co się tam dzieje?

— Nie wiem. Widzę rozbite samochody. Rannych. Nieważne. Pomóż mi, człowieku!

Clay przyklęknął obok kobiety w żakiecie, w kałuży krwi, wśród potrzaskanych resztek telefonu Pixie Jasnej. Drgawki wstrząsające ciałem kobiety stawały się coraz słabsze.

— Dymi się na Newbury — powiedział lodziarz, wciąż nie opuszczając względnie bezpiecznego schronienia w furgonetce. — Coś tam wybuchło. I to nieźle. Może to terroryści.

Gdy tylko to powiedział, Clay nabrał pewności, że facet ma rację.

— Pomóż mi pan — poprosił lodziarza.

— Kim ja jestem??? — wrzasnęła niespodziewanie Pixie Ciemna.

Clay zupełnie o niej zapomniał. Spojrzał na nią i zobaczył, jak dziewczyna wali się z całej siły otwartą dłonią w czoło, a potem trzykrotnie szybko obraca się w koło, stojąc niemal na czubkach tenisówek. Ten widok przywołał krótkie jak mgnienie oka wspomnienie wiersza przerabianego na zajęciach z literatury w college'u: *Otocz go kołem po trzykroć*. To chyba Coleridge? Dziewczyna zachwiała się, pobiegła przed siebie i wpadła na latarnię. Nawet nie próbowała jej ominąć czy osłonić twarzy rękami. Walnęła w nią z impetem, odbiła się, zatoczyła i znów skoczyła naprzód.

— Przestań! — krzyknął Clay.

Zerwał się na równe nogi, chciał pobiec, ale poślizgnął się w kałuży krwi kobiety w żakiecie, omal nie padł, znów rzucił się naprzód, potknął się o Pixie Jasną i o mało znowu nie upadł.

Pixie Ciemna obejrzała się na niego. Miała złamany nos, z którego płynęła krew, zalewając dolną połowę twarzy. Na jej czole błyskawicznie wyrastał podłużny pionowy guz, zaskakujący jak błyskawica w letni dzień. Jedno jej oko przekrzywiło się w oczodole. Otworzyła usta, prezentując smętne resztki tego, co jeszcze przed chwilą prawdopodobnie było rezultatem pracy drogiego ortodonta, i parsknęła śmiechem. Clay wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku.

A potem z dzikim wrzaskiem pobiegła przed siebie chodnikiem.

Za jego plecami rozległ się warkot uruchamianego silnika oraz wzmocnione przez głośniki dźwięki melodii z *Ulicy Sezamkowej*. Clay odwrócił się i zobaczył, jak furgonetka Mister Softee gwałtownie rusza. W tej samej chwili jedno z okien na ostatnim piętrze hotelu po drugiej stronie ulicy jakby eksplodowało. Razem z odłamkami szkła poszybowało w dół ludzkie ciało, by kilka sekund później niemal rozprysnąć się na

chodniku. Z ogródka przed budynkiem dobiegły kolejne krzyki. Okrzyki przerażenia i bólu.

— Nie! — ryczał Clay, biegnąc za furgonetką. — Wracaj tu i pomóż mi! Potrzebna mi pomoc, sukinsynu!

Lodziarz nie zareagował, zresztą najprawdopodobniej w ogóle go nie słyszał przez głośno grającą muzykę. Clay pamiętał słowa tej piosenki z czasów, kiedy miał powody przypuszczać, że jego małżeństwo będzie trwać wiecznie. W tamtych czasach Johnny oglądał codziennie *Ulicę Sezamkową*, siedząc w swoim błękitnym foteliku z kubeczkim w dłoniach. W piosence śpiewano o słonecznym dniu i o rozganianiu ciemnych chmur.

Z parku wybiegł mężczyzna w garniturze, z rozwianymi połami marynarki, wrzeszcząc coś ile sił w płucach. Clay rozpoznał go po koziej bródce z kłaczek psiej sierści. Mężczyzna wypadł na Boylston Street. Samochody gwałtownie hamowały i omijały go w ostatniej chwili. Przebiegł na drugą stronę ulicy, wciąż wrzeszcząc i wymachując rękami. Znikł Clayowi z oczu w cieniu markizy przed hotelem i najwyraźniej napotkał następne ofiary, gdyż zaraz potem dobiegły stamtąd przeraźliwe wrzaski.

Clay zrezygnował z pościgu za furgonetką Mister Softee i przystanął z jedną nogą na chodniku, a drugą w rynsztoku, patrząc, jak wóz z lodami, wciąż brzęcząc muzyką, wjeżdża na środkowy pas Boylston Street. Już miał się odwrócić do nieprzytomnej dziewczyny i umierającej kobiety, gdy zza zakrętu wyjechał kolejny odkryty autokar turystyczny, który nie toczył się majestatycznie, lecz pędził z rykiem silnika, szaleńczo kołyszając się na boki. Część pasażerów bezradnie przetaczała się do przodu i do tyłu po podłodze, rozpaczliwie błagając kierowcę, żeby się zatrzymał. Pozostali kurczowo trzymali się metalowych poręczy biegnących wzdłuż burt niezgrabnego pojazdu, który jechał Boylston Street pod prąd.

Jakiś człowiek w bluzie od dresu złapał kierowcę od tyłu i Clay znów usłyszał ten nieartykułowany okrzyk, wzmocniony

przez prymitywny system nagłaśniający autokaru, gdy szofer z zaskakującą siłą odepchnął napastnika. Tym razem nie było to „szur”, ale coś, co zabrzmiało jak „glut”. A potem kierowca zauważył furgonetkę Mister Softee i — Clay był tego pewien — celowo skreślił prosto na nią.

— O Boże, proszę, nie! — wrzasnęła kobieta siedząca z przodu autokaru, a gdy ogromny pojazd zaczął gwałtownie zbliżać się do co najmniej sześciokrotnie mniejszej od niego furgonetki, Clayowi przypomniała się telewizyjna transmisja z parady zwycięstwa po tym, jak drużyna Red Sox zdobyła puchar. Zespół jechał powoli właśnie takimi odkrytymi autokarami, pozdrawiając szalejące tłumy w zimnej jesiennej mżawce.

— Boże, proszę, nie! — ponownie krzyknęła kobieta, a tuż obok Claya jakiś mężczyzna powiedział niemal spokojnie: — Jezu Chryste.

Autokar uderzył w bok furgonetki i przewrócił ją jak zabawkę. Samochód wylądował na boku, wciąż wygrywając melodię z *Ulicy Sezamkowej*, sunąc po jezdni w kierunku parku i krzesząc snopy iskier. Dwie przyglądające się temu kobiety uskończyły mu z drogi, trzymając się za ręce. Ledwie zdołały uciec. Furgonetka uderzyła w krawężnik, przekoziółkowała w powietrzu, po czym wyrznęła w ogrodzenie z żelaznych prętów i znieruchomiła. Głośniki jeszcze dwukrotnie czknęły muzyką i umilkły.

W tym czasie szalencie siedzący za kierownicą autokaru całkowicie stracił panowanie nad pojazdem. Autokar ze swym ładunkiem przerażonych i uczepionych poręczy pasażerów przeciął Boylston Street niemal pod kątem prostym, wpadł na chodnik po przeciwnej stronie ulicy około pięćdziesięciu jardów od miejsca, gdzie ucichła melodyjka furgonetki, i z ogromną siłą rąbnął w witrynę Citylights — sklepu z luksusowymi meblami. Wielka szyba rozpadła się z donośnym i niemelodyjnym trzaskiem. Szeroki tył autokaru (z różowym napisem

Harbor Mistress) unióśł się pięć stóp nad ziemię. Przy tym pędzie ciężki pojazd mało nie dachował, ale masa na to nie pozwoliła. Autokar opadł na wszystkie koła i znieruchomiał, z maską wśród potrząskanych kosztownych sof i foteli, lecz wcześniej co najmniej dziesięć osób wystrzeliło do przodu jak z procy i zniknęło z oczu patrzących. W zniszczonym wnętrzu rozdzwonił się alarm.

— Jezu Chryste — powtórzył ten sam cichy głos gdzieś na prawo od Claya. Ten obrócił się i stwierdził, że głos należał do niskiego mężczyzny o przeredzonych ciemnych włosach, z niewielkim wąsikiem i okularach w złoconej oprawce. — Co się dzieje?

— Nie mam pojęcia — odparł Clay, a właściwie wykrztusił z najwyższym trudem. Przypuszczalnie miał problemy z mówieniem w wyniku szoku. Po drugiej stronie ulicy ludzie uciekali z hotelu i rozbitego autokaru. Clay zobaczył, jak oddalający się od autokaru człowiek wpadł na uciekiniera z hotelu i obaj runęli na chodnik. Zaczął się zastanawiać, czy może oszalał i wyobraża sobie to wszystko w jakimś szpitalu dla psychicznie chorych. Na przykład w Juniper Hill w Augustynie, w przerwach między zastrzykami z torazyny. — Lodziarz powiedział, że to pewnie terroryści.

— Nie widzę żadnych ludzi z bronią — zauważył niski mężczyzna. — Ani z bombami w plecakach.

Clay też nie widział nikogo takiego, ale widział swoją reklamówkę ze sklepu **small treasures** i teczkę z portfolio, a także kałużę krwi z rozszarpanego gardła kobiety w żakiecie — prawie sięgającą już do teczki. Wewnątrz znajdowały się wszystkie — może z wyjątkiem dwunastu — rysunki „Mrocznego Wędrowca”. Pospiesznie ruszył ku teczce, a niski mężczyzna podążył za nim. Prawie podskoczył, gdy w hotelu rozdzwiewczał się przeraźliwie kolejny alarm przeciw włamaniu (w każdym razie jakiś alarm), dołączając swój ochrypy jazgot do buczenia tego w sklepie meblowym.

— To w hotelu — powiedział Clay.

— Wiem, tylko że... O mój Boże! — Zobaczył kobietę w żakiecie, leżącą w kałuży czerwonego płynu, który... Kiedy? Dwie, a może cztery minuty temu krążył jakby nigdy nic w jej ciele.

— Nie żyje — stwierdził Clay. — W każdym razie tak mi się wydaje. — Wskazał na Pixie Jasną. — Ona to zrobiła. Zębami.

— Żartuje pan.

— Chciałbym.

Gdzieś na Boylston Street rozległa się kolejna eksplozja. Obaj mężczyźni się skulili. Clay uświadomił sobie, że czuje woń dymu. Podniósł torbę i teczkę, zabierając je na bezpieczną odległość od powiększającej się kałuży krwi.

— To moje — wyjaśnił, zastanawiając się, dlaczego to mówi.

Niski mężczyzna, który miał na sobie tweedowy garnitur — całkiem szykowny, pomyślał Clay — wciąż gapił się z przerażeniem na skulone ciało kobiety, która chciała tylko kupić deser lodowy i najpierw straciła psa, a zaraz potem życie. Po chodniku za ich plecami przebiegli trzej młodzi ludzie, śmiejąc się i pokrzykując. Dwaj z nich mieli czapeczki Red Soksów włożone daszkami do tyłu. Jeden przyciskał oburącz do piersi spore kartonowe pudło z błękitnym napisem **Panasonic** na boku. Ten młodzian wdepnął prawą nogą w rozlewającą się kałużę krwi kobiety w żakiecie i pozostawił za sobą szybko niknący ślad jednej stopy, gdy pobiegł z kumplami w kierunku wschodniego końca parku i znajdujących się tam Chinatown.

3

Clay przyklęknął na jedno kolano i ręką, w której nie ścisnął teczki z rysunkami (na widok uciekającego ze skradzionym **Panasonikiem** nastolatka jeszcze bardziej zaczął się obawiać

ich utraty), chwycił przegub Pixie Jasnej. Natychmiast wyczuł puls — wolny, ale mocny i regularny. Clay poczuł ogromną ulgę. Bez względu na to, co zrobiła, była tylko dzieckiem. Nie chciałby żyć ze świadomością, że zatłukł ją przyciskiem do papieru zakupionym w prezencie dla żony.

— Uwaga, uwaga! — zawołał niemal śpiewnie mężczyzna z wąsikami.

Na szczęście niebezpieczeństwo okazało się odległe. Pojazd — jedna z tych przyjaznych krajom OPEC ogromnych terenówek — zjechał nagle z Boylston Street około dwunastu jardów od klęczącego Claya, wyłamał fragment ogrodzenia z żelaznych prętów i zatrzymał się w stawie, zanurzony w nim przednim zderzakiem. Z kabiny wyskoczył bełkoczący coś niezrozumiale młody mężczyzna. Z impetem uklęknął w wodzie, nabrał jej w dłoń i podniósł do ust. Clayowi przemknęła przez głowę myśl o tych wszystkich kaczkach, które przez długie lata z satysfakcją zostawiały w tym stawie odchody. Kierowca terenówki wstał, brodząc w wodzie, wyszedł na brzeg i zniknął wśród drzew, wciąż wymachując rękami i wykrzykując swoją bezsensowną tyradę.

— Musimy sprowadzić pomoc dla tej dziewczyny — powiedział Clay do mężczyzny z wąsikami. — Jest nieprzytomna, ale żyje.

— Przede wszystkim musimy zejść z ulicy, zanim nas coś rozjedzie — zauważył przytomnie mężczyzna z wąsikami.

Jakby na potwierdzenie słuszności jego słów w pobliżu wraku autokaru taksówka zderzyła się z przedłużoną limuzyną. Co prawda to limuzyna jechała pod prąd, ale kolizja skończyła się znacznie gorzej dla taksówki: wciąż klęczący na chodniku Clay zobaczył, jak kierowca wyleciał przez rozbitą przednią szybę i wylądował na jezdni, krzycząc wniebogłosy i trzymając się za zakrwawione ramię.

Mężczyzna z wąsikami miał oczywiście rację. Ta odrobina zdrowego rozsądku, na jaki potrafił się zdobyć wstrząśnięty

i oniemiały Clay, podpowiadała mu, że postapiliby najmądrzej, wynosząc się stąd do diabła i szukając czym prędzej jakiegoś schronienia. Jeśli mieli do czynienia z aktem terroru, to niepodobnym do żadnego, o jakim czytał lub słyszał. Powinien — obaj powinni — ukryć się w bezpiecznym miejscu i poczekać, aż sytuacja się wyjaśni. Tak więc należałoby znaleźć jakiś działający telewizor. Nie chciał jednak zostawiać nieprzytomnej dziewczyny na ulicy, która niespodziewanie zamieniła się w dom wariatów. Takie postępowanie było całkowicie sprzeczne z jego łagodnym charakterem i bezsprzecznie cywilizowanymi przyzwyczajeniami.

— Niech pan idzie — rzekł do mężczyzny z wąsikami. Powiedział to niezwykle niechętnie. Pierwszy raz widział tego człowieka na oczy, lecz ten facet przynajmniej nie bełkotał i nie wymachiwał rękami. No i nie rzucił mu się do gardła z obnażonymi zębami. — Niech się pan gdzieś schowa, a ja... ja...

Nie wiedział, co powiedzieć.

— Pan co? — zapytał mężczyzna z wąsikami, po czym skulił się i skrzywił, gdy rozległa się kolejna eksplozja, tym razem jakby za budynkiem hotelu. Po chwili zaczął się stamtąd unosić słup ciemnego dymu, plamiąc błękitne niebo, zanim wzbił się dostatecznie wysoko, żeby rozwiął go wiatr.

— Wezwę policję! — wpadł na pomysł Clay. — Ona ma komórkę. — Wskazał kciukiem na kobietę w żakiecie, która leżała martwa w kałuży własnej krwi. — Rozmawiała przez nią, zanim... no wie pan... zanim...

Zamilkł, próbując sobie dokładnie przypomnieć, co się działo na moment przedtem, nim rozpętało się to szaleństwo. Po chwili stwierdził, że nieświadomie przeniósł wzrok z martwej kobiety na nieprzytomną dziewczynę, a potem na szczątki telefonu komórkowego w kolorze mięty.

Powietrze rozdarło przeciągłe wycie syren w dwóch różnych tonacjach. Clay domyślił się, że jedna z nich należała do

radiowozu, a druga do wozu strażackiego. Stali mieszkańcy miasta zapewne rozróżniali je bez trudu, ale on nie mieszkał w Bostonie tylko w Kent Pond w stanie Maine, gdzie w tej chwili bardzo chciałby się znaleźć.

Zanim rozpętało się to szaleństwo, kobieta w zakiecie zadzwoniła do swojej przyjaciółki Maddy, by powiedzieć jej, że była u fryzjera, a do Pixie Jasnej zadzwoniła któraś z jej koleżanek. Pixie Ciemna przysłuchiwała się rozmowie. A zaraz potem wszystkie trzy oszalały.

Chyba nie sądzisz, że...

Ze wschodu dobiegł odgłos najsilniejszej z dotychczasowych eksplozji. Clay zerwał się na równe nogi. Z przerażeniem popatrzyli po sobie z niskim mężczyzną w tweedowym garniturze, po czym obaj skierowali wzrok w stronę Chinatown oraz bostońskiego North Endu. Nie widzieli, co tym razem wybuchło, lecz teraz nad domami na horyzoncie powoli unosił się jeszcze większy i ciemniejszy słup dymu.

Kiedy nań patrzyli, przed budynek hotelu Four Seasons zajechał radiowóz bostońskiej policji oraz wóz strażacki z drabiną. Clay spojrział w tym kierunku w tej samej chwili, gdy z ostatniego piętra skoczył kolejny człowiek, a z dachu następných dwóch. Miał wrażenie, że ta ostatnia para jeszcze w powietrzu zawzięcie ze sobą walczyła.

— Jezus, Maria, nie! — rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. — Już wystarczy, wystarczy!

Pierwszy z trójki samobójców spadł na radiowóz, rozbijając tylną szybę i opryskując wóz krwią i wnętrznościami. Dwaj kolejni wylądowali z łoskotem na dachu wozu strażackiego, gdy strażacy w jaskrawożółtych kurtkach rozbiegli się w płochu jak ogromne, niesamowite ptaki.

— NIE! — krzyczała dalej kobieta. — Już dość! Już dość! Dobry Boże, już dość!

Jednak z piątego albo szóstego piętra wyskoczyła jakaś kobieta, koziołkując jak szalona akrobatka. Wylądowała na

policjancie, który stał na chodniku i gapił się w górę. Zapewne zabiła i siebie, i jego.

Z północy dotarł odgłos kolejnego z tych potężnych wybuchów, jakby sam diabeł wypalił z dubeltówki. Clay znów spojrział z niepokojem na niskiego mężczyznę, który odpowiedział mu takim samym spojrzeniem. Kolejne słupy dymu uniosły się w powietrze i pomimo silnego wiatru niemal zupełnie zasnuły niebo.

— Znowu posłużyli się samolotami — powiedział człowiek z wąsikami. — Ci parszywi dranie znowu posłużyli się samolotami!

Jakby na poparcie jego słów usłyszeli kolejną eksplozję, tym razem w północno-wschodniej części miasta.

— Ale przecież... przecież tam jest lotnisko! — Clay miał ponownie problemy z mówieniem, a jeszcze większe z myśleniem. Po głowie kołatał mu się kiepski ni to żart, ni to historyjka: „Słyszeliście o tych (tu należy wstawić nazwę ulubionej grupy etnicznej) terrorystach, którzy postanowili rzucić Amerykę na kolana, wysadzając w powietrze lotnisko?”.

— I co z tego? — zapytał niemal urągliwie mężczyzna.

— Dlaczego nie wysadzili Hancock Building? Albo Pru? Człowieczek się skulił.

— Nie wiem. Wiem tylko tyle, że chcę stąd zniknąć.

W tym momencie tuż obok nich przebiegło kilkoro młodych ludzi. Boston to przecież miasto młodzieży, pomyślał Clay, tyle tu uczelni. Ci młodzi ludzie — trzech chłopcy i troje dziewcząt — przynajmniej niczego nie ukradli i z pewnością się nie śmiali. Jeden z nich, nie zwalniając kroku, wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i przyłożył do ucha.

Po drugiej stronie ulicy z piskiem opon zatrzymał się drugi radiowóz, tak więc nie było potrzeby wzywania policji z aparatu martwej kobiety — i bardzo dobrze, bo Clay już zdecydował, że nie powinien tego robić. Wystarczyłoby mu przejść na drugą stronę ulicy i porozmawiać z nimi... tyle że wcale nie był

pewien, czy odważyłby się teraz przekroczyć Boylston Street. A nawet gdyby, to czy przyszliby tu z nim, żeby zając się nieprzytomną dziewczyną, kiedy tam z pewnością było Bóg wie ile ofiar? Właśnie w tej chwili strażacy zaczęli w pośpiechu szykować się do odjazdu — pewnie na lotnisko albo...

— Jezu Chryste, niech pan spojrzy — wyszeptał mężczyzna z wąsikami. Patrzył na zachód, w kierunku centrum, skąd jeszcze niedawno nadszedł Clay, gdy największym problemem w jego życiu było zadzwonienie do Sharon. Wiedział już nawet, od czego zacznie tę rozmowę: „Mam dobre wieści, kochanie. Obojętnie, jak się między nami ułoży, zawsze będą pieniądze na buty dla dzieciaka”. W myślach zabrzmiało to lekko i zabawnie, jak za dawnych lat.

To, co zobaczył, wcale nie było zabawne. W ich kierunku zbliżał się — nie biegnąc, lecz idąc długimi i miarowymi krokami — blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna w spodniach od garnituru oraz resztkach koszuli i krawata. Spodnie były szare. Koloru koszuli i krawata nie dało się określić, ponieważ zwisały w strzępach, zbroczone krwią. W prawej ręce ścisnął coś, co wyglądało na nóż rzeźnicki o prawie osiemnastocalowym ostrzu. Clay mógłby przysiąc, że widział ten nóż na wystawie sklepu Soul Kitchen, kiedy wracał ze spotkania w hotelu Copley Square. Rząd noży na wystawie (SZWEDZKA STAL! — głosił napis wytłoczony na karteczkę) lśnił w blasku sprytnie ukrytych lampek, lecz to ostrze musiało się sporo napracować od chwili zdjęcia z wystawy, gdyż było matowe od krwi.

Mężczyzna w podartej koszuli wymachiwał nożem, zbliżając się do nich miarowym krokiem. Ostrze unosiło się i opadało. W pewnej chwili wypadł z rytmu i skaleczył się. Świeża strużka krwi popłynęła przez nowe rozcięcie koszuli. Poszarpany krawat powiewał na wietrze. Podchodząc do nich, mężczyzna przemawiał niczym wiejski kaznodzieja, na którego właśnie spłynęło objawienie.

— *Eyelah! Eelah-eyelah-a-babbalah-naz! A-babbalah czemu? A-bunnaloo-jak? Kazzalah! Kazzalah-mogę! Fuj! Wstyd-fuj!*

Opuścił rękę z nożem do prawego biodra, a Clay swoim wyostrzonym wzrokiem ujrzał cios, który tamten zamierzał zadać. Mordercze cięcie, przy którym nawet nie zwolni kroku, kontynuując swój szalony marsz donikąd w to październikowe popołudnie.

— Uwaga! — wykrzyknął mężczyzna z wąsikiem, ale sam nie uważał. Ten niski facet, pierwsza normalna osoba, z którą Clay Riddell rozmawiał, od kiedy zaczęło się całe to szaleństwo, i zarazem pierwszy człowiek, który sam się do niego odezwał, co w tych okolicznościach zapewne wymagało sporej odwagi, stał nieruchomo jak posąg, z oczami jak spodki za szklami okularów w złotych oprawkach. Czy ten szaleniec szedł na niego, ponieważ z nich dwóch facet z wąsikiem był mniejszy i wyglądał na łatwiejszy cel? Jeśli tak, to może obszarpany pseudokaznodzieja nie był kompletnie szalony. Nagle Clay poczuł nie tylko strach, ale i gniew — zupełnie jakby zerknął nad ogrodzeniem boiska i zobaczył szkolnego osiłka zamierzającego spuścić łomot znacznie mniejszemu, młodszemu dzieciakowi.

— UWAGA! — niemal załkał mężczyzna z wąsikiem, wciąż nie schodząc z drogi nadchodzącej śmierci, śmierci wypuszczonej na wolność ze sklepu Soul Kitchen, w którym z całą pewnością honorowano karty Diner's Club i Visa, a także czekci, rzecz jasna za okazaniem dokumentu tożsamości.

Clay nie zastanawiał się, tylko po prostu ponownie chwycił teczkę z rysunkami i wetknął ją między swojego nowego znajomego a napastnika. Ostrze z głuchym stuknięciem przebiło teczkę, ale zatrzymało się cztery cale od brzucha mężczyzny z wąsikiem. Ten wreszcie się otrząsnął i skoczył w kierunku parku, głośno wzywając pomocy.

Człowiek w postrzępionej koszuli i krawacie — który miał

lekkobowięte policzki i trochę za gruby kark, jakby mniej więcej przed dwoma laty przestał równoważyć solidne posiłki równie solidnymi ćwiczeniami fizycznymi — nagle przerwał swoją bezsensowną przemowę. Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz zadumy, graniczącej z lekkim zdziwieniem.

Clay wpadł w szał. Ostrze przebiło wszystkie obrazy z „Mrocznego Wędrowca” (dla niego zawsze były to obrazy, nie rysunki czy ilustracje), a on poczuł się tak, jakby przeszło mu serce. Była to idiotyczna reakcja, bo przecież miał reprodukcje każdego z nich włącznie z poczwórnymi planszami, a jednak tak właśnie się czuł. Nóż szaleńca przebił Czarnoksiężnika Johna (nazwanego tak na cześć syna Claya, oczywiście), Czarodzieja Flaka, Franka i chłopaków Posse, Śpiocha Gene’a, Sally Trucicielkę, Lily Astolet, Błękitną Wiedźmę oraz, rzecz jasna, Raya Damona, Mrocznego Wędrowca we własnej osobie. Wszystkie te fantastyczne istoty żyjące w zakamarkach jego wyobraźni miały oszczędzić mu trudów nauczania wychowania plastycznego w kilkunastu wiejskich szkołach stanu Maine, przejeżdżania tysięcy mil miesięcznie i spędzania połowy życia w samochodzie.

Mógłby przysiąc, że usłyszał ich zbiorowy jęk, kiedy przeszło je trzymane przez szaleńca ostrze ze szwedzkiej stali. Rozwścieczony, zupełnie zapomniał o nożu (przynajmniej na chwilę) i z całej siły odepchnął człowieka w podartej koszuli, posługując się teczką niczym tarczą. Widząc, jak zgięła się przy tym w V, wpadł w jeszcze większy gniew.

— *Blet!* — wrzasnął szaleniec, usiłując wyszarpnąć ostrze, które za mocno utkwilo. — *Blet ky-yam doe-ram kazzalalah a-babbalah!*

— Zaraz zbaballahuję ci kazzalah, pierdoło! — ryknął Clay i podstawił mu nogę.

Dopiero później zdał sobie sprawę, że ciało samo wie, jak walczyć, kiedy trzeba. Na co dzień ukrywa tę wiedzę przed swoim właścicielem, tak samo jak ukrywa umiejętność biegania,

przeskakiwania przez strumień, pokazywania komuś środkowego palca albo umierania, kiedy nie ma innego wyjścia. Pod wpływem silnego stresu przejmuje kontrolę i robi to, co należy, podczas gdy mózg stoi z boku i może co najwyżej gwizdać, nerwowo przytupywać i spoglądać w niebo. Albo kontemplować odgłos, z jakim rzeźnicze ostrze przebija kartonową teczkę, którą dostałeś od żony na dwudzieste ósme urodziny.

Szaleniec potknął się zgodnie z planem opracowanym przez sprytnie ciało Claya i runął na wznak na chodnik. Clay stał nad nim, ciężko dysząc i trzymając oburącz teczkę jak tarczę. Rzeźniczy nóż nadal w niej tkwił, rękojeść wystawała z jednej, a ostrze z drugiej strony.

Szaleniec próbował wstać. Nowy znajomy Claya doskoczył i kopnął go mocno w kark. Niski mężczyzna głośno łkał, łzy spływały mu po policzkach, a okulary zachodziły mgłą. Szaleniec ponownie osunął się na chodnik i z wywalonym językiem bełkotał coś, co bardzo przypominało jego wcześniejszą przemowę.

— Chciał nas zabić! — szlochał mężczyzna z wąsikiem. — Ten drań chciał nas zabić!

— Tak, tak... — powiedział Clay i niemal natychmiast uświadomił sobie, że takim samym uspokajającym głosem mówił do Johnny'ego w czasach, kiedy jeszcze nazywali go Johnny-ojej i przybiegał do nich z otartymi kolanami albo łokciami, krzycząc „Mam krew!”.

Leżący na chodniku szaleniec (który miał mnóstwo krwi) próbował wstać, opierając się na łokciach. Tym razem to Clay poczuł się obowiązany kopniakiem podciąć mu rękę i ponownie rozciągnął go na chodniku. Tę metodę można jednak było potraktować co najwyżej jako tymczasowe i w dodatku dość obrzydliwe rozwiązanie. Clay chwycił rękojeść noża, skrzywił się, czując pod palcami maź nie całkiem zakrzepłej krwi (wrażenie podobne do ściskania kawałka zimnego sadła) i pociągnął. Ostrze wysunęło się odrobinę i uwięzło... albo palce

ześlizgnęły mu się z rękojeści. Pomyślał, że słyszy dobiegające z wnętrza teczki pojękiwania swoich bohaterów, i sam też jęknął. Nie mógł się powstrzymać. Tak jak nie mógł przestać się zastanawiać, co pocznie z nożem, kiedy już zdoła go wyszarpnąć. Zadżga nim szaleńca? Zapewne mógłby to zrobić jeszcze przed chwilą, ale chyba nie teraz.

— Co się dzieje? — zapytał płaczliwie człowieczek z wąsikiem. Pomimo zdenerwowania Claya ujęła autentyczna troska w głosie tamtego. — Zranił pana? Przez moment zasłaniał mi go pan i nie widziałem, co się działo. Dorwał pana? Jest pan ranny?

— Nie, wszystko w po...

Z północy dobiegł odgłos kolejnej potężnej eksplozji, niemal na pewno na lotnisku Logan po drugiej stronie zatoki. Obaj odruchowo skulili się i skrzywili. Szaleniiec skorzystał z okazji i usiadł, ale nie zdążył zrobić nic więcej, ponieważ niski mężczyzna w tweedowym garniturze wymierzył mu niezdarnego, ale skutecznego kopniaka w klatkę piersiową, trafiając w sam środek pociętego krawata i znów przewracając mężczyznę na plecy. Wariat ryknął i próbował chwycić go za stopę. Przyciągnąłby go do siebie i zamknął w śmiertelnym uścisku, gdyby Clay nie złapał nowego znajomego za ramię i nie odciągnął na bok.

— Zabrał mi but! — wykrzyknął człowieczek. Za ich plecami rozbiły się dwa kolejne samochody. Rozległy się nowe krzyki i sygnały alarmów: samochodowych, przeciwpożarowych, przeciwwłamaniowych. W oddali zawodziły syreny. — Ten drań zabrał mi...

Nagle obok nich pojawił się policjant. Zapewne jeden z interweniujących po drugiej stronie ulicy, pomyślał Clay i gdy funkcjonariusz przyklęknął przy bełkoczącym szaleńcu, Clay był niemal gotów go pokochać. Że też zadał sobie trud, by do nich przybiec! Że też w ogóle zwrócił na nich uwagę!

— Lepiej niech pan uważa — ostrzegł policjanta mężczyzna z wąsikiem. — On jest...